

usposobiona towarzyszka uczęstowała mnie kolejną obelgą. Kiedy zatrzymaliśmy się przy stacji benzynowej, bez słowa wygramoliła się z wozu i długo nie wracała. Życzliwy jegomość w starszym wieku, ze złamanym nosem, powoli, troskliwie umył mi przednią szybę – na każdej stacji robią to inaczej, jedni irczą, inni namydloną szczotką, ten akurat użył różowej gąbki.

W końcu wróciła.

– Słuchaj – powiedziała tym swoim beznamiętnym tonem, który tak mnie ranił – daj mi trochę drobnych. Chcę zadzwonić do mamy do szpitala. Jaki tam jest numer?

– Wsiadaj – odparłem. – Pod ten numer zadzwonić się nie da.

– A bo co?

– Wsiadaj i zatrzaśnij drzwi.

Wsiadła i zatrzasnęła. Stary pracownik stacji promiennie się do niej uśmiechnął. Dałem szusa na autostradę.

– Niby dlaczego nie mogę zadzwonić do mamy?

– Dlatego – wyjaśniłem – że twoja matka nie żyje.

### 33

W wesołym mieście Lepingville kupiłem jej cztery komiksy, pudełko cukierków, pudełko podpasek higienicznych, dwie cole, komplet przyborów do manikiuru, budzik podróżny z fosforyzującym cyferblatem, pierścionez z prawdziwym topazem, rakietę tenisową, wrotki z białymi butami o wysokich cholewkach, lornetkę, przenośne radio, gumę do żucia, przezroczysty płaszcz od deszczu, ciemne okulary, znowu coś z ubrania – odlotówki, szorty, rozmaite letnie sukienki. W hotelu wzięliśmy osobne pokoje, lecz w środku nocy przyszła do mojego, szlochając, i bardzo delikatnie się pogodziliśmy. Widzicie, zupełnie nie miała dokąd pójść.